



HARLAN
COBEN

Najczarniejszy strach

Thriller

1

Godzinę wcześniej, nim jego świat rozpękł się niczym dojrzały pomidor pod obcasem szpilki, Myron ugryzł świeży pasztecik o smaku podejrzenie zbliżonym do kostki zapachowej z pisuaru.

— No i? — spytała matka.

Po pyrrusowym zwycięstwie nad własnym gardłem zdołał przełknąć kęs.

— Niczego sobie — odparł.

Pokręciła głową z dezaprobatą.

— O co chodzi?

— Że też ja, prawniczka, nie nauczyłam cię lepiej łąć.

— Staralaś się, jak mogłaś.

Wzruszyła ramionami i machnęła ręką na „pasztecik”.

— Piekłam pierwszy raz w życiu, *bube*. Powiedz prawdę.

— Smakuje jak kostka pisuarowa.

— Jak co?

— Kostka z męskiej toalety. Z pisuaru. Wkładają je tam, żeby pachniały.

— I ty je jesz?

— Nie...

— Czy to dlatego twój ojciec spędza tyle czasu w toalecie? Chrupie kostki? A ja myślałam, że dokucza mu prostata.

— Żartowałem, mamó.

Uśmiechnęła się niebieskimi oczami ze śladami czerwieni, której nie usuwają krople do oczu, czerwieni, której nabywa się, często gęsto płacząc. Zwykle miała dystans do swojej roli. Popłakiwanie nie było w jej stylu.

— Ja też, filucie. Myślisz, że ty jeden w tej rodzinie masz poczucie humoru?

Myron nie odpowiedział. Spojrzał na „pasztecik”. Przez ponad trzydzieści lat, odkąd tu mieszkała, matka niczego nie upiekła — ani według przepisów, ani z głowy, ani nawet z ciast w proszku w rodzaju porannych rogalików firmy Pillsbury. Bez dokładnej instrukcji nie potrafiłaby nawet zagotować wody i nie skalała się gotowaniem, za to błyskawicznie wkładała do mikrofalówki podłą mrożoną pizzę, tańcząc palcami po programatorze tak żwawo jak Nurejew w Lincoln Center. Kuchnia w domu Bolitarów była głównie miejscem spotkań — rodzinną świetlicą, jak kto woli — a nie przybytkiem sztuki kulinarnej. Okrągły stół okupowała zastawa z czasopism, katalogów i tekturowych białych pojemników po chińskim jedzeniu na wynos. Na kuchence działało się mniej niż w filmach spółki Merchant-Ivory. A piekarnik był rekwizytem wyłącznie na pokaz jak Biblia na biurku polityka.

Stało się coś niedobrego.

W dużym pokoju, gdzie siedzieli — z pokrytą imitacją skóry białą, wysłużoną, składaną kanapą i turkusowym dywanem, kudłatym jak pokrowiec na deskę klozetową — Myron poczuł się niczym dorosły Greg Brady. Raz po raz zerkał przez okno na zatkniętą przed domem tablicę „Na sprzedaż” jakby to był statek kosmiczny, z którego zaraz wyjdzie jakiś obcy złowrogi stwór.

— Gdzie tata? — spytał.

Matka skinęła z rezygnacją ręką w stronę drzwi.

— Jest w piwnicy.

— W moim pokoju?

— W twoim dawnym pokoju. Wyprowadziłeś się, pamiętasz?

Rzeczywiście się wyprowadził, jako trzydziestoczteroletni nieopierzony młokos. Pediatrzy i psychologowie dziecięcy śliniliby się na taką gratkę i pogwizdywali z dezaprobatą, że marnotrawny syn tak długo nie opuszcza bezpiecznego kokonu rodzinnego, choć dawno temu powinien zmienić się w motyla. Ale Myron miał na to kontrargumenty. Mógł powołać się na kultywowaną w większości kultur tradycję zamieszkiwania dzieci pod jednym dachem z rodzicami i dziadkami i postawić tezę, iż w dobie rozpadu więzi rodzinnych taka filozofia pomogłaby ludziom zakorzenieć się, a tym samym przyczynić do rozkwitu społeczeństwa. Gdyby takie rozumowanie kogoś nie przekonało, mógł dostarczyć innych. Miał ich milion.

Ale prawda była znacznie prostsza; lubił przebywać z mamą i tatą w domku na przedmieściach, nawet jeśli przyznanie się do takiej słabości było równie modne, jak

słuchanie ośmiościeżkowych nagrań Air Supply.

— Co się dzieje? — spytał.

— Ojciec nie wie, że przyjechałeś. Spodziewa się ciebie za godzinę.

Zaskoczony Myron skinął głową.

— A co on robi w piwnicy?

— Kupił sobie komputer. I tam się nim bawi.

— Tata?

— Sam widzisz. Z człowieka, który bez instrukcji nie potrafi wkręcić żarówki, zamienia się raptem w Billa Gatesa. Cały czas siedzi w interesie.

— W Internecie, mamó.

— W czym?

— To się nazywa Internet.

— Myślałam, że interes. Kupno, sprzedaż, te rzeczy.

— Nie, Internet. Inaczej sieć.

Ellen Bolitar strzeliła palcami.

— O właśnie! Tak czy siak twój ojciec siedzi tam na okrągło i zakłada sieć czy co tam. Rozmawia z różnymi ludźmi. Tak twierdzi. Z zupełnie nieznanymi. Jak kiedyś przez krótkofalówkę, pamiętasz?

Myron pamiętał. Połowa lat siedemdziesiątych. Żydowscy tatusiowie z przedmieść ostrzegali się w drodze do delikatesów przed drogówką. Kawalkada cadillaców seville. „Przyjąłem, dzięki, kolego!”.

— To nie wszystko — ciągnęła. — Pisze pamiętniki. Człowiek, który bez pomocy podręcznika do stylistyki nie robi listy zakupów w spożywczym, raptem spisuje memuary jak jakiś wiceprezydent.

Sprzedawali dom. Myron wciąż nie mógł w to uwierzyć. Błądząc spojrzeniem po znanym na pamięć otoczeniu, zatrzymał wzrok na fotografiach biegnących wzdłuż schodów. Dokumentowały dojrzewanie jego rodziny przez pryzmat zmieniającej się mody — spódnic i baczków, to krótszych, to dłuższych, pseudohipisowskich falban, zamszaków, psychodelicznych wzorów, garniturów sportowych, spodni dzwonów, smokingów z żabotami w złym guście nawet w kasynach w Las Vegas — lat upływających z ramki na ramkę, jak ludzkie życie w dołączających reklamach towarzystw ubezpieczeniowych. Przyjrzał się swoim zdjęciom z czasów, gdy grał w koszykówkę — temu z szóstej klasy, na którym wykonywał rzut osobisty, temu z ósmej, na którym szarżował na kosz, temu ze szkoły średniej, na którym robił wsad — i kończącym rząd okładkom „Sports Illustrated” — dwóm z czasów gry w drużynie Uniwersytetu Duke’a i tej z nogą w gipsie, z biegnącym na wysokości jego zagipsowanego kolana pytaniem: CZY TO KONIEC KARIERY? (Wypisana w jego duszy wołami odpowiedź brzmiała: TAK!).

— Żle z nim? — spytał.

— Tego nie powiedziałam.

— I to mówi prawniczka? — Myron pokręcił głową.

— Daję zły przykład?

— Nic dziwnego, że przy takiej matce nie wyrosłem na polityka.

Splotła ręce na kolanach.

— Musimy porozmawiać — powiedziała tonem, który mu się nie spodobał. — Ale nie tutaj — dodała. —

Przejdźmy się.

Skinął głową. Wstali, ale nim dotarli do drzwi, odezwała się jego komórka. Wydobył ją z szybkością, która zadziwiłaby szeryfa Wyatta Earpa. Odchrząknął i przyłożył słuchawkę do ucha.

— RepSport MB — odezwał się gładkim zawodowym tonem. — Myron Bolitar, słucham.

— Przez telefon masz miły głos — powiedziała Esperanza. — Jak Billy Dee chowający dwa kolty czterdziestkiptki.

Esperanza Diaz była jego długoletnią sekretarką, a obecnie partnerką w agencji sportowej RepSport MB (wiernym czytelnikom przypominam: M to Myron, B to Bolitar).

— Liczyłem na telefon od Lamara.

— Jeszcze nie zadzwonił?

— Nie.

Myron był niemal pewien, że zmarszczyła brwi.

— No, to leżymy i kwiczymy.

— Jakie leżymy i kwiczymy? Dostaliśmy małej zadyszki.

— Małej? Takiej jak Pavarotti na maratonie w Bostonie.

— Dobre!

— Dzięki.

Bejsbolista Lamar Richardson, wyśmienity lewy środkowy łapacz, zdobywca Złotej Rękawicy, stał się niedawno „wolnym elektronem”. Agenci szeptali te dwa słowa tak nabożnie, jak mufti szepcze: „Chwała Allahowi!”. Szukający nowego menedżera Lamar zawęził w końcu wybór do trzech agencji: dwóch potężnych, z biurami wielkości magazynów hurtowni, i wspomnianej już, małej jak pryszcz,

ale gwarantującej osobiste kontakty RepSport MB. Rośnij, pryszczu!

Obserwując bacznie stojącą w drzwiach matkę, Myron przyłożył słuchawkę do drugiego ucha.

— Coś jeszcze? — spytał.

— Nie zgadniesz, kto zadzwonił.

— Elle i Claudia domagają się kolejnego rendez-vous we troje?

— U-u-u, blisko.

Esperanza nigdy nie mówiła mu niczego wprost. Przyjaciele zawsze urządzali mu teleturniej.

— Nie podpowiesz mi trochę?

— Jedna z twoich byłych kochanek.

Serce mu podskoczyło.

— Jessica.

Esperanza zabuczała.

— Nic z tego, nie ta zołza.

Zagadka. Miał za sobą tylko dwa dłuższe związki miłosne: trzynastoletni — z przerwami — z Jessicą (należący do przeszłości), a wcześniej... musiałby się cofnąć aż do...

— Emily Downing? — spytał.

— Dzyń, dzyń!

Serce przeszło mu jak sztylet obraz Emily. Siedziała z podwiniętymi nogami na zniszczonej kanapie w podziemiu akademika, w za dużej bluzie z liceum, w której ginęły co chwila jej rozgestykulowane dłonie, i uśmiechała się do niego po swojemu.

Zaschło mu w gardle.

— Czego chciała? — spytał.

— Nie wiem. Powiedziała tylko z taaakim przydechem, że musi z tobą porozmawiać. Zabrzmiało to bardzo dwuznacznie.

W ustach Emily wszystko brzmiało dwuznacznie.

— Jest dobra w łóżku? — spytała Esperanza.

Będąc nader atrakcyjną biseksualistką, w każdym widziała ewentualnego partnera do łóżka. Myron zastanawiał się, jak to jest mieć i rozważać tyle możliwości, uznał jednak — mądrze — że lepiej nie zagłębiać się w ten temat.

— A co dokładnie powiedziała?

— Nic konkretnego. Ale wyrzuciła z siebie wiązanek namiętnych zachęt: pilne, nóż na gardle, sprawa życia i śmierci itepe, itede.

— Nie chcę z nią rozmawiać.

— Tak myślałam. Potraktować ją wykrętami, jeśli znów zadzwoni?

— Bardzo proszę.

— No, to *más tarde*.

Kiedy się rozłączył, uderzył w niego jak niespodziewana fala o brzeg drugi obraz. Ostatni rok studiów w Duke. Emily, bardzo opanowana, rzuca bluzę na łóżko i wychodzi... Wkrótce potem poślubiła człowieka, który zrujnował mu życie.

„Oddychaj głęboko — przykazał sobie. — Wdech, wydech. Dobrze”.

— Wszystko w porządku? — zainteresowała się matka.

— Tak.

Z dezaprobatą pokręciła głową.

— Nie kłamie — zapewnił.

— Jasne, naturalnie, przecież ty zawsze sapiesz tak, jakbyś komuś gadał świństwa przez telefon. Jeśli nie chcesz nic powiedzieć własnej matce...

— Nie chcę.

— ...która wychowała cię i...

Myron jak zwykle przestał jej słuchać. Znów odbiegała od tematu, rozwodząc się nad przeszłością i tak dalej. Robiła to bardzo często. Była całkiem nowoczesną, wczesną feministką, która maszerowała ramię w ramię z Głorią Steinem, stanowiąc dowód, że — by zacytować hasło z jej koszulki — „Miejsce kobiety jest w domu... i w Senacie”, ale na widok syna cała jej postępowość opadała z niej i spod spalonego stanika wyłaniała się prosta Żydówka w chuście na głowie. Dzięki temu Myron miał ciekawe dzieciństwo.

Wyszli z domu. Nie spuszczać oka z tablicy „Na sprzedaż”, jakby bał się, że nagle wymierzy w nich broń, wyobraźnią przeniósł się do dnia, którego nie widział — słonecznego dnia, kiedy jego rodzice, mama z brzuchem pękającym od ciąży, przyjechali tu pierwszy raz, trzymając się za ręce, oboje wystraszeni i uszczęśliwieni, że ten szablonowy dwupoziomowy dom z trzema sypialniami będzie ich statkiem, ich parowcem „Amerykańskie Marzenie”. A w tej chwili ich rejs, chcąc nie chcąc, dobiegał końca. Nie dla nich były już bzdurne porady: „Zamknij jedno drzwi, otwórz następne”. Tablica „Na sprzedaż” oznaczała kres — kres młodości, wieku średniego, rodziny, świata dwojga ludzi, którzy zaczęli tu wspólne życie, razem walczyli, wychowywali dzieci, na zmianę z innymi rodzicami wozili je do szkoły, pracowali, żyli.

Myron i matka ruszyli ulicą. Przy krawężniku piętrzyły się liście, pewny znak jesieni na przedmieściach, a dmuchawy na trawnikach roztrącały stojące powietrze jak helikoptery nad Sajgonem. Myron szedł wewnętrzną stroną chodnika, omijając żółtorude stosy. Podobał mu się, nie wiedzieć dlaczego, szelest martwych liści pod butami.

— Ojciec rozmawiał z tobą — powiedziała matka; zabrzmiało to jak pytanie — o tym, co się stało.

Myrona ścisnęło w żołądku. Zanurzył stopy w liście, wyżej unosząc nogi i głośniejsze szeleszcząc.

— Tak.

— Co ci powiedział?

— Że kiedy byłem na Karaibach, poczuł bóle w piersi.

Dom Kaufmanów, który zawsze był żółty, nowi właściciele pomalowali na białe. Jego nowy kolor kłócił się z otoczeniem. Niektórym domom sprawiono elewacje z aluminium, a innym dobudówki, powiększając kuchnie i sypialnie małżeńskie. Młoda rodzina, która wprowadziła się w miejsce Millerów, pozbyła się charakteryzujących ich siedzibę skrzynek z feerią kwiatów. Nowi właściciele domu Davisów usunęli wspaniałe krzewy, które Bob Davis pielęgnował co weekend. Wszystko to przywodziło Myronowi na myśl najeźdźczą armię zrywającą flagi podbitych.

— Nie chciał ci nic mówić. Znasz ojca. Wciąż uważa, że powinien cię chronić.

Myron, brodząc w liściach, skinął głową.

— To było coś więcej niż bóle w piersi — dodała. Zatrzymał się.

— Ma wieńcówkę — powiedziała matka, nie patrząc mu w oczy. — Przez trzy dni był na intensywnej opiece. — Zamrugła oczami. — Prawie całkiem zatkało mu arterię.

Myron poczuł skurcz w gardle.

— Zmienił się. Wiem, jak bardzo go kochasz, ale musisz się z tym pogodzić.

— Z czym pogodzić?

— Że ojciec się starzeje. I ja się starzeję — odparła łagodnie a stanowczo.

— Staram się — rzekł po chwili.

— Ale?

— Ale patrzę na ten znak „Na sprzedaż”...

— To drewno, cegły i gwoździe, Myron.

— Słucham?

Przebrnęła przez liście i wzięła go za łokieć.

— Snujesz się osowiały, jakbyśmy obchodzili sziwa, ale ten dom nie jest twoim dzieciństwem. Nie jest członkiem rodziny. Nie oddycha, nie myśli, nie troszczy się. To tylko drewno, cegły i gwoździe.

— Przeżyliście w nim blisko trzydzieści pięć lat.

— I co z tego?

Odwrócił głowę, lecz się nie zatrzymał.

— Ojciec pragnie być z tobą szczerzy, ale nie ułatwiasz mu sprawy.

— Jak to? Co takiego zrobiłem?

Potrząsnęła głową i spojrzała w niebo, jakby tam szukała natchnienia. Dotrzymał jej kroku. Wsunęła mu rękę pod łokieć i oparła się na jego ramieniu.

— Zawsze byłeś wysportowany. W przeciwieństwie do

ojca — powiedziała. — Prawdę mówiąc, była z niego ofiara.

— Wiem.

— Oczywiście. Bo twój tata nigdy nikogo nie udawał. Chciał, żebyś widział w nim człowieka, nawet ułomnego i słabego. Dziwne, ale skutek był taki, że czciłeś go jeszcze bardziej. W twoich oczach zyskał mityczny wymiar.

Myron przemyślał to sobie i, nie oponując, wzruszył ramionami.

— Kocham go — powiedział.

— Wiem, kochanie. Niemniej jest tylko człowiekiem. Dobrym człowiekiem. Ale starzeje się i się boi. Zawsze pragnął, żebyś widział w nim człowieka. Nie chce jednak, żebyś dostrzegł jego strach.

Myron nie podniósł głowy. Są rzeczy, które trudno sobie wyobrazić, gdy chodzi o rodziców — klasycznym przykładem jest seks. Większość ludzi nie umie — i pewnie nawet nie próbuje — wyobrazić sobie rodziców in flagranti delicto. Ale on próbował przywołać w tej chwili inny obraz tabu — ojca, który z ręką na piersi siedzi wystraszony w ciemnościach. Wprawdzie mógł sobie wyobrazić, lecz był to obraz bolesny, nieznośny.

— Co powinienem zrobić? — spytał wreszcie stłumionym głosem.

— Pogódź się ze zmianami. Ojciec przechodzi na emeryturę. Całe życie pracował i jego samoocena, jak u większości mężczyzn z jego pokolenia, debilnie wiernych wzorcowi męskości, wiąże się z pracą. Tata przeżywa trudne chwile. To nie ten sam człowiek. Wasz stosunek się zmienia, a żaden z was nie lubi zmian.

Myron milczał, czekając na dalszy ciąg.

— Ułatw mu sprawę. Troszczył się o ciebie całe życie. O nic cię nie poprosi, ale czas, byś zatroszczył się o niego.

Kiedy na rogu ulicy zawrócili, Myron zobaczył, że przed tablicą „Na sprzedaż” stoi mercedes. Przez chwilę się zastanawiał, czy to może pośrednik handlu nieruchomościami pokazuje klientowi ich dom. Uśmiechnięty ojciec stał na zewnątrz i szeroko gestykulował, rozmawiając z jakąś kobietą. Patrząc na jego twarz — szorstką skórę, która zawsze prosiła się o golenie, wydatny nos, którym zwykle go „dziobał”, gdy chichocząc walczyli ze sobą na niby, ciężkie powieki à la Victor Mature i Dean Martin, siwe kosmyki włosów, które uparcie trzymały się jego głowy po wypadnięciu czarnych — poczuł, jak jakaś ręka szczypie go w serce.

Ojciec pochwycił jego spojrzenie i pomachał ręką.

— Spójrz tylko, kto do nas wpadł! — zawołał.

Emily Downing odwróciła się i lekko uśmiechnęła. Myron popatrzył na nią i nic nie powiedział. Minęło pięćdziesiąt minut. Dziesięć minut później obcas szpilki rozwalił pomidora.

2

Za dużo wspomnień.

Rodzice Myrona ulotnili się. Mimo swego niemal legendarnego nawyku wtrącania się do rozmów, potrafili galopem przebyć Pole Minowe Wścibstwa, z niesamowitą zręcznością omijając pułapki. Bez słowa zniknęli w domu.

Emily spróbowała się uśmiechnąć, ale jej nie wyszło.

— No, no — powiedziała, gdy zostali sami. — Czyżby to był ten orzeł, którego wypuściłam z garści?

— Ostatnim razem powiedziałaś to samo.

— Tak?

Poznali się na pierwszym roku studiów w bibliotece Uniwersytetu Duke’a w Durham. Była wtedy dużą, przyjemnie pulchną dziewczyną, lecz choć z biegiem lat ubyło jej mięśni i ciała, to na tym nie straciła. Wciąż rzucała się w oczy. Była nie tyle ładna, ile — by zacytować piosenkę — papuśna, gorąca jak piec. Jako młoda studentka, z wiecznym bałaganem na głowie z długich, kręconych

włosów i szelmowskim uśmieszkiem jak z filmu dozwolonego od lat osiemnastu, miała tak kształtną, pełną krągłości figurę, że niczym ze starego migotliwego projektora filmowego było z niej słowo „seks”. Cóż z tego, że nie była piękna. Piękno miało niewiele wspólnego z seksapilem. Urodziła się z nim. I nie straciłaby go nawet obleczona w suknię namiot i z głową przybraną rozjechanym kotem.

Może to dziwne, ale chyba przesadnie rozdmuchana rewolucja seksualna z przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych przetoczyła się obok nich, bo kiedy się poznali, byli prawiczkami. Swoją rozgłos zawdzięczała, zdaniem Myrona, głównie reklamie i nie przeniknęła przez ceglane mury podmiejskich szkół średnich. Z drugiej strony świetnie umiał racjonalizować swoje przypadki. Najprawdopodobniej sam był sobie winien, jeśli brak rozwiązań można nazwać winą. Od zawsze, już w liceum, podobały mu się tylko „porządne” panny. Nie interesowały go „przygody”. W każdej poznanej dziewczynie szukał potencjalnej partnerki na całe życie, bratniej duszy, dozgonnej miłości, tak jakby się spodziewał, że każdy związek dwojga ludzi będzie jak z piosenki Carpenterów.

Jego związek z Emily okazał się jednak pełną odkryć seksualną wyprawą w nieznane. Uczyli się od siebie nawzajem nie bez przeszkód, lecz upojnie. Jeszcze teraz, choć szczerze jej nie znosił, czuł tamto rozkoszne napięcie, wciąż pamiętał, jak śpiewały mu koniuszki nerwów i niosła go fala podniecenia, gdy byli ze sobą w łóżku. Albo na tylnym siedzeniu samochodu. W kinie, w bibliotece, raz

nawet na wykładzie o *Lewiatanie* Hobbesa. Jeżeli marzył o tym, by być jak z piosenki Carpenterów, to jego pierwszy dłuższy związek skończył się niczym gorący, zgrzany, spocony, szybki „Raj w świetle deski rozdzielczej” z albumu Meat Loafa *Bat Out of Hell*.

Jednak na pewno coś ich łączyło. Byli ze sobą trzy lata. Kochał ją i to ona, jako pierwsza dziewczyna w jego życiu, złamała mu serce.

— Czy w pobliżu jest jakaś kawiarnia? — spytała.

— Starbucks.

— Poprowadzę.

— Nie chcę z tobą jechać, Emily.

Uśmiechnęła się.

— Czyżbym straciła urok? — spytała.

— Przestał na mnie działać dawno temu — odparł, co było półkłamstwem.

Poruszyła biodrami. Przypomniał sobie uwagę Esperanzy na jej temat. Nie tylko głos czy słowa, ale każdy ruch Emily był dwuznaczny.

— To ważna sprawa.

— Nie dla mnie.

— Nie masz pojęcia...

— Nieważne, Emily. Dla mnie nie istniejesz. Tak jak twój mąż...

— Były mąż. Rozwiedliśmy się, pamiętasz? A poza tym nie miałam pojęcia, co ci zrobił.

— Niech ci będzie. Zrobił to z powodu ciebie.

— Upraszczasz sprawę. Dobrze wiesz.

Miała rację. Skinął głową.